

KAZIMIERZ ANDRZEJ CZYŻOWSKI.

## SZEŚĆ GODZIN

14

[Powieść.]

— Mów, Danielu, ja uczuciem zrozumieć.  
— Pamiętasz? Opowiadałem ci dziś o kole, w którym toczą się ludzkie sprawy, na podstawie normalnych, raz na zawsze uświęconych praw i prawideł.

— Pamiętam, Danielu.

— I że za tem kolem leży wielka nieskończoność. Tak jak powietrze dokoła ziemi, tak ta nieskończoność dokoła życia ludzkiego, wypełniona jest bezmierną możliwością innych stawań się, aniżeli te, które ludzie znają. Nie wszystkim jest dane wiedzieć o tem przed śmiercią, chociaż po śmierci wszyscy w ten bezmiar ku innemu życiu wsiąkają.

— Rozumie cię Danielu, mów dalej.

— I oto myśmy wyszli poza obwód tego koła i dzisiejszą noc przeżyliśmy już za granicą ludzkiej normalności. To co dla innych, wielu ludzi byłoby możliwem tylko we śnie, jako nieobowiadające i grą fantazji nasuwałe przeczucie innych spraw, w nas stało się rzeczywistością.

— Wszak tyś tęskniła do wielkiej, spalającej wszystko i tworzącej na nowo miłości, Marjo?

— Tak, Danielu.

— Ma zylaś o jednym, wyjątkowym człowieku i choć nie wiedziałaś jak ma wyglądać, tworzyłaś go również w sobie, umieszczając w nim wszelką tęsknotę do życia.

— Nigdy nie nazywałam słowami marzeń moich i snów, ale teraz, słysząc cię, Danielu, wiem, wiem napewno, że tak właśnie było.

— I było to tak, jak i we mnie. Z tą tylko różnicą, że ja wiedziałem o tobie, nazywałem cię Marją i szedłem ku tobie światłom.

— Bez ciebie, nigdy nie wysłałbym pewnie poza tamto moje życie.

— Bez ciebie Marjo i ja łatwo mógłbym pobrać.

Ręce ich spotkały się znowu i przesyłały sobie nawzajem niewypowiedziane słowami pozdrowienia.

— Wiem, że nazwę tylko to, co i ty czujesz małą moją pani. Ale muszę mówić na głos do ciebie, by wraz z tobą słowami nazwanymi ożywić i rzucić w ten czas myśli nasze i uczucia.

— Trzeba Danielu, aby nic z tego czasu nie przepadło. Mów zatem, a ja słuchać będę.

— Bo jesteśmy z krwi i kości ludźmi i musimy nieśmiertelnie, by się nie zagubić w tych nowych dla nas krainach, posługiwać się tylko niedoświadczonymi słowami, by bodaj między nimi, w ich atmosferze, napięciu i nastroju, w ich cieniu i jasności, mózgi poumieszczać uczucia nowe, wrażenia i myśli.

— Oto w tym czasie, który innym ludziom na jeden zaledwie jako tako wyspany sen, po jednym dniu pracy wystarcza, pomieściliśmy Marjo całe, olbrzymie zdarzenia i uczuciami życie.

— Spotkaliśmy się jako nieznajomi i mogłaś sądzić, rzecz zwykłe biorąc, że jestem złoczyńcą, a jednak nie potrafiłaś szaleć do mnie, co przecież zwyczaj ci nakazywał.

— Widocznie serce przeczuło cię, Danielu.

— A potem wyszedłem, by nurt życia wzbłąć i do zalewu gotowy, a przeciwko nam idący, w inną puścić stronę. Podniosłem mu stawidła tam, gdzie życie samo je przysięgało. I wróciłem tu do ciebie, by szalonymi skrótami wyprowadzić cię poprzez grozę tamtych wypadków, w miejsca już bezpieczne.

— Jak kolo złotych bestji przeszliśmy obok sensacji, moralów, i porachunków ludzkich. Płakałaś, bo chodziło o osoby bliskie ci. Ale one same pomogły ci zrozumieć, że tu nietylko o nie chodzi.

Wszystko to jednym było, jak ja się nazywałem, tak i życiu wszystko jest jednym jak się nazywają ci, których ono depce lub zaciąga.

I oto ograniczony czas z kilku godzin, rozpięliśmy na lata całe i odczytaliśmy się w nim od łuku wypadków nas szukających, po to, by sercem naszym pozwolić przemówić i rozkwitnąć, tak długo, tak aż dojad wyczerpaną miłością.

Przez lica pani przebiegł szkarłatany rumieniec.

— Płonisz się, Marjo, przed tem słowem: miłość. Rumieniec ten twój jest zapłonieniem się

pęku lilji, gdy słońce na nią padnie, by się rozchyliła.

Słowa Daniela upajały panią i otaczały mgłą dziwu i cudownej, zagadkowej rozkoszy, czy szczęścia.

— I wiele stało się jeszcze takich zdarzeń, dla których brak mi słów, by je nazwać. Ale za bliskośmy jeszcze są obwodu koła. I dlatego Marjo... dlatego nie szukam jeszcze ust twoich i nie biorę cię w ramiona.

Piersi pani znów szybciej zachygotały. Słowa jego ostatnie udeżyły ją, jak ją iść przecudne, ale kolczaste, bronące się cierniem od zerwania kwiaty.

Rozwinięte kuszącym omdleniem słowa o pocałunku, przegrodziła nagle jedna chwila, jeden blysk rzeczywistości, zdawało się, już tak daleko odeszła.

Przepełnione ich dusze i serca wspólnotą uczucia i wrażeń, w tej samej chwili podjęły nagle powstałą, zastrzoną myśl.

Pani powtórzyła jego słowa.

— Jesteśmy blisko obwodu koła.

— Życie spróbuje nas porwać jeszcze raz w swój nurt. Ale my się już nie damy Marjo, prawda?

— Tak, Danielu. Przy tobie niczego się nie obawiam.

Te słowa jednak nie tylko wyznaniem jej były. Próbowala ona niemi odeprzeć, powstałe nagle inne złe myśli, nawała cała, dzika horda, ze wszystkich kątów pokoju, ze wszystkich dawnych dni i przeżyć ku niej pędzących. Poczuły one zawzięcie i zapalczywie, coraz wolniej i coraz nieznosniej napastować ją, przypominać odcwane imię męża, jego żółtawe oczy, jego ponury głos, „wczoraj” i „tydzień temu”, do niego należące.

Zapewne Daniel odczuł, co się w pani dzieje, bo zbliżył się do niej na krok i powtórzył, patrząc wyraźnie w jej oczy.

— Ale my się już nie damy, Marjo.

Tak, tak, Danielu, chociaż nic nie wiem, co teraz się stanie.

Jej myśli nie były obce i jemu. Wiedział, że zbliża się chwila decydującej walki z tem wszystkim, co z lasu szło ku nim nieubłagane. Szybkiemi jak błyski myślami zbierał się w sobie, by przygotować się do obrony. Poczuli się nagle bogaczem, tym nie do obliczenia skarbem miłości i to poczucie wzbierało w nim z sekundy na sekundę siłą i zdecydowaniem.

Patrzył w jej oczy i milcząc, zdawał się i na nią przelewać swoją moc.

Zespoleni w tej chwili każdym niemal swym nerwem, zakreślił w niesamowitem napięciu idącej grozy i oczekiwającego na walkę z nią cadu ich nowonarodzonego życia.

I nagle ta idąca groza, jak zalew z dala pędzący, doszła ich uszu pierwszym, z ciszy zaciennego świtu wyrosłym szumem.

— Już idą.

— Tak, słysząc ich głosy.

Zawahała się pani przez chwilę i nim skontrolowała swe serce, wyrzekła słowa instyktem podświadomym.

— Uciekaj już teraz stąd Danielu.

Spojrzał na nią z wyrzutem.

— Marjo?

— Zabć cię mogą.

— Nie bój się Marjo. Nie będą śmieli mnie teraz tknąć.

— On jest z nimi. On ich prowadzi.

— Tem gorzej dla niego.

Umilkła bezradnie, ale jakaś duma z odkrycia, że odpowiedział jej tak, jak się spodziewała, zalała ją błogiem poczuciem siły, od niego płynącej.

Tymczasem daleki szum coraz bardziej rozrastał się i stawał się z każdą chwilą rosnącym gwarem. Szli, każdym krokiem zbliżali się ku nim, niosąc z sobą coś, czego przewidzieć niczemby się nie dało.

Daniel jak najczulszym wzrokiem objął postać pani, jakby ją przeprosić i na niewiadome pożegnać chciał.

— Już czas na ciebie Marjo. Idź do swego pokoju i czekaj na mnie.

Uśmiechnęła się do niego tak miło, że całe serce jego tym uśmiechem przejęło się do dna.

— O nie, Danielu, ja z tobą tutaj zostanę.

— Marjo!

— Wszak masz mię dalej poprowadzić. Jakżeż mogłabym odejść wtedy, gdy głównie o mnie będzie chodziło.

— Marjo! Tu może być śmierć! Chcę, abyś żyła.

— Wier broń mię.

W rosnącym coraz bardziej gwarze pochylił

się i ukląkł przed nią, a objawiając jej nogi wokół kolan, przytulił do nich swą głowę.

Podniosła go lekko.

— Trzeba teraz zamknąć okno.

Usłuchał jej. W jednej chwili przeszedł do narzucającej się już całą siłą rzeczywistości.

A chwila po temu była już najwyższa.

Po głosach poznać było, że cięba ludzka już weszła pomiędzy zabudowania.

Dopiero teraz Daniel wsłuchał się dokładnie w płynący szum i gwar. Czemś go widocznie specjalnie zastanowiły te głosy, bo aż się pochylił, by je wyraźnie usłyszeć.

Istotnie, ta fala ludzkich głosów była zdumiewająca. Jakiś jdnostajny, ponury, monotonny rytm kołysał się w niej, rosnąc nie natężeniem głosu, ale zmniejszającą się szybko odległością.

Szum ten był zdecydowany i ponury, że dreszczem nie głębiej zgrozy przejmował. Żadnych w nim okrzyków, żadnych zachęceń, czy rozkazów, żadnych oszpeceń — tak jakby ci co szepotali, nie tylko walkę nieśli, ale śmierć, pewną i niezawodną śmierć.

Przez zamknięte już okna i ściany zgroza przenikała do pokoju i objęła go z kąta w kąt w posadanie.

Pani pobladła i z oddaniem patrzyła na Daniela, który zdźwiony ręką czoło pocierał.

— Co to znaczy? Dlaczego Wojciech nie wrócił i nie dał znać, co się dzieje.

— Może go złapali.

— Świeci się coś dla mnie niezrozumiałego.

— Boże! Może oni i ten dwór spalić zechcą.

— Musieli y wiedzieć napewno, że tu jestem.

— Może Wojciech zdradził?

— Nie, to niemożliwe.

Tymczasem fala głosów zatrzymała się tuż pod murami domu, jakby stanęła przy drzwiach i dalej monotonnie, jdnostajnie szemrała. Nikt do drzwi nie zakładał, nikt nie próbował wejść.

Oczekiwanie na to, co się miało stać, a co się tak niespodziewanie i dzwinnie odwiekało, przeszło w jakieś niesamowite napięcie.

— Co się to dzieje?

— Może czekają na kogoś jeszcze. Może nie wszyscy już przyjdą z żłi.

Daniel otrząsnął się w sobie, próbując zapamiętać nad nerwami.

— A jednak, Marjo, życie przy zetknięciu się z niem jest bardzo silne. Zdawało mi się, że potrafię spokojnie tą chwilę wyczekać i przejść przez nią, tymczasem mi spodziewany jej przebieg i twoja przy mnie obecność, zagarniają mię.

— Czy nie myślisz Danielu, że to dlatego, iż cała przyszła możliwość nasza, waży się w tej chwili?

Nie zdążył jej jednak odpowiedzieć, bo w tej chwili na korytarzu dały się słyszeć zbliżające się w stronę ich pokoju liczne kroki.

Daniel w jednej chwili pochwycił rewolwer ze stołu i błysnął nim w powietrze.

— Marjo, proszę, stań za mną.

Na bladej twarzyczce pani wykwił znowu nieśmiały, ale zdecydowany rumieniec.

— Nie, Danielu. Będę stała obok ciebie.

Kroki coraz bliżej dudniły i oderwany od tamtego, głównego szumu szmer ludzkich kilkunastu głosów odbijał się już o drzwi pokoju groźnymi swą niezrozumiałością głosami.

Pani i Daniel powoli głowy ku sobie zwrócili i z wyrazem przeogromnej, pierwszej i ostatecznej miłości, powiedzieli sobie oczyma, o swojej gotowości i oddaniu.

Serca ich zatrzymały się w biegu, oddech zamarł oczekiwaniem.

Już, już kroki podeszły pod same drzwi i zatrzymały się znowu.

Tuż przy deskach z drugiej strony drzwi, odbyła się krótka, niewidzialna narada.

Nagle ktoś, miast ostro, jak najciszej zapukał do drzwi.

Daniel podniósł rewolwer na wysokość piersi.

— Wejść.

I do pokoju wszedł Wojciech, ze starym jakóbem, a twarze ich były szare i dziwnie spokojne.

— Co się stało Wojciechu?

— Pan Szporn spalił się w leśniczówce, a chłopci przynieśli jego ciało i pytają paniczą, gdzie złożyć.

— Sąd Boży rozstrzygnął paniczu i my już wszystko wiemy — dopowiedział stary jakób. Daniel opuścił rękę z rewolwerem i głowę zwrócił ku Marji...

A pod murem dworu szemrała w różniącym już świetle jdnostajna fala ludzkich głosów.

Koniec.